

2. Moja niewola w Namysłowie 1945

Od H. K.

Z końcem kwietnia 1945 roku nasz Namysłowski batalion pospolitego ruszenia dostał się do niewoli w okolicach miasta Trutnov. Nie wierzyliśmy własnym oczom kiedy pewnego późnego popołudnia z wszystkich stron obstawili nas rosyjskie czołgi i piechota. Nie pozostało nam nic innego jak tylko pogodzić się z naszym losem. Po krótkim przesłuchaniu zamknięto nas w dużej stodole. Po tym zamknięto jej wrota, a my byliśmy pewni, że stodoła zostanie podpalona, żeby "Germanskis" spłoneli. Jednak po godzinie wrota zostały otwarte i dołączył do nas pluton żołnierzy piechoty Rosyjskiej, którzy spędził z nami noc. Tak pomiędzy nami-pospolitym ruszeniem również rosyjscy żołnierze poukładali się do snu. Wszyscy musieliśmy się stawić bardzo wczesnym porankiem następnego dnia. Dobytek jaki mieliśmy przy sobie w międzyczasie zdążył zniknąć. Zostaliśmy przekazani oddziałowi Rosjan i Polaków i rozpoczął się marsz do niewoli- dokąd idziemy nie wiedzieliśmy. Dotarliśmy do Strzelina, to była niedziela. W ogrodzeniu z drutu kolczastego o powierzchni około 50m² byliśmy w około 150 osób ściśnięci. Oficerowie zostali wywiezieni ciężarówką, dokąd też nie było nam wiadomo. W tym ogrodzeniu spędziliśmy prawie całe dwa dni. Nie mogliśmy się położyć bo z jednej strony powierzchnia była całkowicie zabłocona, a zaś swoją drogą nie zostało już skrawka miejsca, żeby się położyć. Tak musieliśmy odczekać co się dalej będzie działo. Wyżywienia praktycznie w ogóle nie było, tylko kto miał przy sobie trochę pieniędzy mógł kupić odrobinę suchego chleba u wartowników, a wszyscy byli to starzy Rosjanie.

Po niecierpliwym wyczekiwaniu nadeszła wiadomość, że zostaniemy zawiezieni do obozu do Wrocławia. Jakże cieszyliśmy się jak już nadszedł czas prze-frachtowania, od ciągłego stania nasze kończyny już zeszywniały. Zanim rozpoczęliśmy marsz do Wrocławia obozowaliśmy przez jedną noc na jakieś łące, czuliśmy tylko że było nam zimno i byliśmy głodni. Kolejnego dnia, mogło być około południa, dotarliśmy do Wrocławia. Tam spotkaliśmy mnóstwo wziętych do niewoli rodaków, wszystkie obozy były przepełnione, zaprowadzono nas na Psie Pole, ale tam też już nie było miejsca, potem musieliśmy znów wrócić do Wrocławia. Szliśmy w tam i z powrotem drogami które były nie do poznania, wszędzie widzieć można było tylko gruz i ruiny. W końcu dotarliśmy do Karłowic. Wszędzie widzieliśmy płaczące kobiety i dzieci. Widok wszechobecnego lamentu nie był uspakajający, nawet tutaj nie było możliwości przyjęcia jeńców. Po wielogodzinnym oczekiwaniu postanowiono przetransportować nas do punktu wyjścia batalionu pospolitego ruszenia, czyli do naszego miasta pochodzenia-do Namysłowa. Właściwie cieszyliśmy się, że wracamy do Namysłowa, ale to miało się szybko zmienić. Co nas tam czeka mieliśmy dopiero odczuć.

Po tym jak dotarliśmy do Namysłowa zostaliśmy przekazani Polakom. Na powitanie przeszukano wszystkie torby i kieszenie za zegarkami, pieniędzmi i innymi wartościowymi dla rabusiów przedmiotami. Nawet okulary i obrączki zostały nam odebrane. Zostaliśmy wszyscy zarejestrowani i dostaliśmy nakaz stawienia się na 6.00 do pracy. My "Niemczes", czyli Niemcy zostaliśmy zakwaterowani w ulicy Braugasse. Jak ktoś nie był na czas na miejscu nie dostał chleba. Że zostaliśmy wszyscy pozbawieni naszych zegarków powiedziano nam „Patrzcie za słońcem to macie zegarek“

Oddział, który przydzielał nam pracę należał do bardzo eleganckich: większość Polaków poza swoją bronią nosiła jeszcze tzw. „Sechsstriemer“, czyli bat do tresury Niemców, w cholewie swoich butów. Niejeden z nas dostał niezliczone razy takim batem.

Początkowo byliśmy przydzieleni do wykonywania robót porządkowych, za to

dostawaliśmy na cztery osoby jeden półtora-kilowy chleb, to był czas głódówki... Powoli powracali też cywilni uchodźcy, jednak duża część z nich po jednym dniu znowu się wyprowadzała z Namysłowa. Jak już około 1000 ludzi powróciło, zaczynało się robić troszkę lepiej dla nas. Miasto było silnie zniszczone, bez zaopatrzenia w prąd ani w wodę. Wtedy przy stawieniu się do pracy otrzymaliśmy rozkaz: Wszyscy, którzy pracowali w browarze mieli wystąpić, między innymi też i ja. Mieliśmy za zadanie przywrócić funkcjonowanie/produkcję w browarze. Sprowadzono pewnego inżyniera z Wrocławia i zabrano się za pracę.

Początkowo byliśmy tylko w 12 ludzi. Jako byłemu księgowemu, praca fizyczna była dla mnie bardzo ciężka, najpierw musieliśmy sprzątnąć wszystkie śmieci i brudy, żeby się w ogóle dostać do browaru. Ale bardzo szybko nawet ja byłem przyzwyczajony do odgrywania roli „robola“. Od burmistrza dostaliśmy karty na nasze wyżywienie: obiad i kolację w Lokalu Zurawsky. Dla nas był to ogromny przywilej, ale Polacy potrzebowali nas do zrobienia porządku i przywrócenia wody i elektryczności.

Po około 14 dniach osiągnęliśmy, że miasto miało już światło i wodę z browaru. Zostaliśmy przez Burmistrza pochwaleni i dostawaliśmy 15 złotych za tydzień pracy, to starczało przynajmniej na chleb i 5 gram tabaki. Od tego momentu zaczęliśmy pracę nad uruchomieniem Browaru i przywróceniem w nim produkcji. Maszyny zostały doprowadzone do porządku, brakowało tylko skórzanych pasków napędowych. Za to odpowiedzialni byli już Polacy.

Pewnego dnia mogliśmy już przejść do rozpoczęcia produkcji lemoniady: wśród Polaków jak i wśród nas wywołało to ogromną radość. Spory sztab Polskich urzędników przyszedł zobaczyć jak produkuje się pierwszy rzut lemoniady. Najprawdopodobniej żaden z "Polskis" nigdy na oczy nie widział tak wysokich i potężnych maszyn do rozlewania i butelkowania napojów. Dla nas „roboli“ reszta dnia była również uczta, dostaliśmy więcej do jedzenia i każdy jeszcze po 50złotych.

Także mieliśmy też „dobrą“ niewolę, ale w momencie gdy technicznie byliśmy na tyle rozwinięci, że z pomocą mistrza z Wrocławia, który był pochodzenia bawarskiego mogło zostać rozpoczęte warzenie piwa dobre czasy dla nas się skończyły. Każdy z nas miał przyuczyć dwóch Polaków, a potem zostaliśmy znowu przydzieleni do oddziału robotniczego.

Był niedzielny wieczór, gdzieś około 22.00 kiedy to milicja wywołała mnie do transportu bydła- Rosyjski oficer twierdził że pojedę do Kluczborka więc naprzód! Byliśmy w pięciu. Najpierw jechaliśmy do Rychnowa gdzie czekało na nas już sześciu Polaków. Naszym zadaniem było zagonienie 120 krów i licznych byków. W momencie kiedy zatrzymaliśmy się nad łąką w Gręboszowie, gdzie bydło miało się paść usłyszałem od Polskiego oddziału, który z nami jechał, że transport ten jest przewidziany do Kijowa. O tym porozmawialiśmy i wszyscy Namysłowianie przy pierwszej lepszej okazji mieli uciec z transportu.

Niestety zostałem zostawiony na lodzie. Następny postój był w Wierzbicy dolnej na koplii należącej do dominium. Co kilka godzin musieliśmy się zmieniać, żeby obchodzić koplę i dopilnować żeby żadne z zwierząt nie uciekło albo nie zostało skradzione. Byłem na pierwszej zmianie nocnej. Kiedy czekałem na zmiennika okazało się że moi współpodróżnicy Namysłowianie wszyscy cichutko już znikli.

Byłem przestraszony więc poszedłem do przewodniczącego transportu by zapytać o moich Niemieckich znajomych. Jego zastępca przekazał mi wiadomość, że Ci już dawno uciekli. Nie wierzyłem własnym uszom! Miałem przez jedną noc jeszcze pełnić służbę, a potem o 3.00 zostanę obudzony. Punktualnie o 3.00 rano przyjechano po mnie, dostałem pismo i wyżywienie i musiałem zrobić wszystko, żebym jak najdalej uciekł. Więc naprzód! Przez

wierzbicki las, przez Gręboszów i z powrotem do Namysłowa. „Dzięki Bogu“ tak zostałem przywitany. I znowu zapomniane zostało cierpienie związane z wywózką do Kijowa. Praca u Polaków nadal trwała, czy to piątek czy niedziela "Niemczes" zawsze musieli pracować. Wszyscy Niemcy musieli nosić białe szarfy na których zapisane było miejsce pracy danej osoby.

To były koszmarne czasy- w Ojczyźnie być ofiarą samowoli obcych. Codziennie rano przy apelu za listą zostały wywoływane osoby i towarzysze partyjni byli zawożeni na komendę, tam biedni przechodzili przez piekło. Krzyki bitych słyszeliśmy aż w mieście. Udręczeni wracali po tygodniach, zastraszeni, zmieszani, pobici i „pół głupcy“ to straszne stwierdzenie ale niestety prawdziwe.

Jeszcze jeden przykład polskiej samowoli: Jednej Niedzieli czterech do pięciu chłopaków w wieku około 15 lat szło przez rynek. Nadszedł Polski Żyd , również młodszy mężczyzna, uklonił się uprzejmie i powiedział: Proszę pójść za mną. L. zaprowadził chłopaków do Betanii, gdzie postawieni przy ścianie i zastraszeni karabinami musieli śpiewać pieśni młodzieży Hitlera. Po tym nastąpiło „wymierzenie sprawiedliwości“ jakie sobie nawet wyobrazić trudno. Chłopaki zostali do tego stopnia pobici, że nawet Rosyjski oficer stanął w ich obronie, uwolnił ich i zawiózł do szpitala by opatrzyć rany.

Przez Rosjan został utworzony obóz na posiadłości Bochnig. Nawet sam byłem zmuszony w tym pomagać. Tam zakwaterowano około 30 osób. Obóz został ogrodzony bardzo wysokim płotem z drutu kolczastego. To było potrzebne, żeby przynajmniej część Niemców zachować przed przejściem przez Polaków. W zamian za pracę co prawda nie dostawaliśmy pieniędzy ale wystarczająco dużo jedzenia oraz ubranie.

Naszym miejscem zatrudnienia były obie fabryki płatków ziemniaczanych, centrala i koszary. Musieliśmy pakować ubrania, zegary, obrazy, odbiorniki radiowe, fortepiany, maszyny do szycia, rowery oraz motory jako skradzione dobra niemieckie. Kiedy ta praca się zakończyła przeniesiono nas do Opola, tam zakwaterowano nas w jednej z willi przy dworcu. Mieliśmy wystarczająco jedzenia i każdy miał swoje łóżko. O 8.00 nas obudzono a o 9.00 przyjechała po nas ciężarówka, która zawiozła nas do portu gdzie skradzione dobra mieliśmy załadować na barki towarowe.

Raz na dwa tygodnie wieziono nas małym autobusem do Namysłowa, gdzie mieliśmy przez niedzielę wypocząć i wyprać ubrania. Zarówno bieliznę jak i pozostałe ubrania dostaliśmy od Rosjan. Tak minęło około ośmiu tygodni. Potem przewieziono nas do Kluczborka do baraków za miastem w kierunku Ligoty. Tam kazano nam nasze ubrania bieliznę a nawet pościel włożyć do worków i zaszyć. Po dwóch tygodniach wróciłem znów do Opola, zostałem przedstawiony pewnemu kapitanowi i dostałem się do miejscowego browaru do ochrony licznych magazynów. Dostałem mundur Rosyjski, broń z amunicją- stałem się tak wartownikiem.

Moja służba trwała od 22.00 do 8.00 rano, mój wspólnik bardzo dobrze mówił po Niemiecku. Kiedy zapytałem gdzie się tak dobrze języka nauczył odpowiedział mi, że pochodzi z Prus wschodnich. Naszym zadaniem były obchody wewnątrz magazynów, za to dostawaliśmy tytoń i jedzenie, żyło nam się całkiem dobrze. Za dnia odsypialiśmy, przez południe nas budzono na obiad a po nim mogliśmy dalej spać. O 19.00 znowu nas budzono, przynoszono nam kolację a potem znów zaczynała się służba. Mieliśmy rozkaz bezzwłocznie strzelać do złodziei niezależnie czy Polak czy Rosjanin. Tak daleko jednak nigdy nie doszło. Służby nocne miały bez jakiś większych zdarzeń. Po około 5 tygodniach powróciłem do Namysłowa W Namysłowie w międzyczasie znów się dużo zmieniło. Rosjanie w dużej mierze już opuścili miasto. Pozostał tylko oddział cywilny i kilku oficerów z swoimi oddziałami.

Moja praca u Rosjan znowu się rozpoczęła –była to praca w komendaturze w karczmie Pietzonka. Tam musiałem się zająć chlewikami świńskimi, ale to było lepsze niż praca u Polaka. Tam dostaliśmy przynajmniej dobrze i wystarczająco dużo do jedzenia. Pracowałem wspólnie z jednym z Namysłowskich rodaków. Często słyszeliśmy rano o 6.00 jak biedni Niemcy niedaleko nas w ulicy Feldstraße byli katowani przez polską milicję: to był okropny krzyk. W porównaniu do Polaków Rosjanie byli dobrymi ludźmi, pod warunkiem, że byli trzeźwi.

Z końcem października wszystkich niemieckich niewolników przeniesiono do koszar, gdzie podzielono nas na wygnanie do Niemiec. To był długi pociąg z około 52 wagonami i 1850 metrów. Punktem docelowym był obóz kwarantanny "Rathenow".

¹¹ Autor bliżej nieokreślony Źródło: Namslauer Heimatruf Nr. 50, str. 13